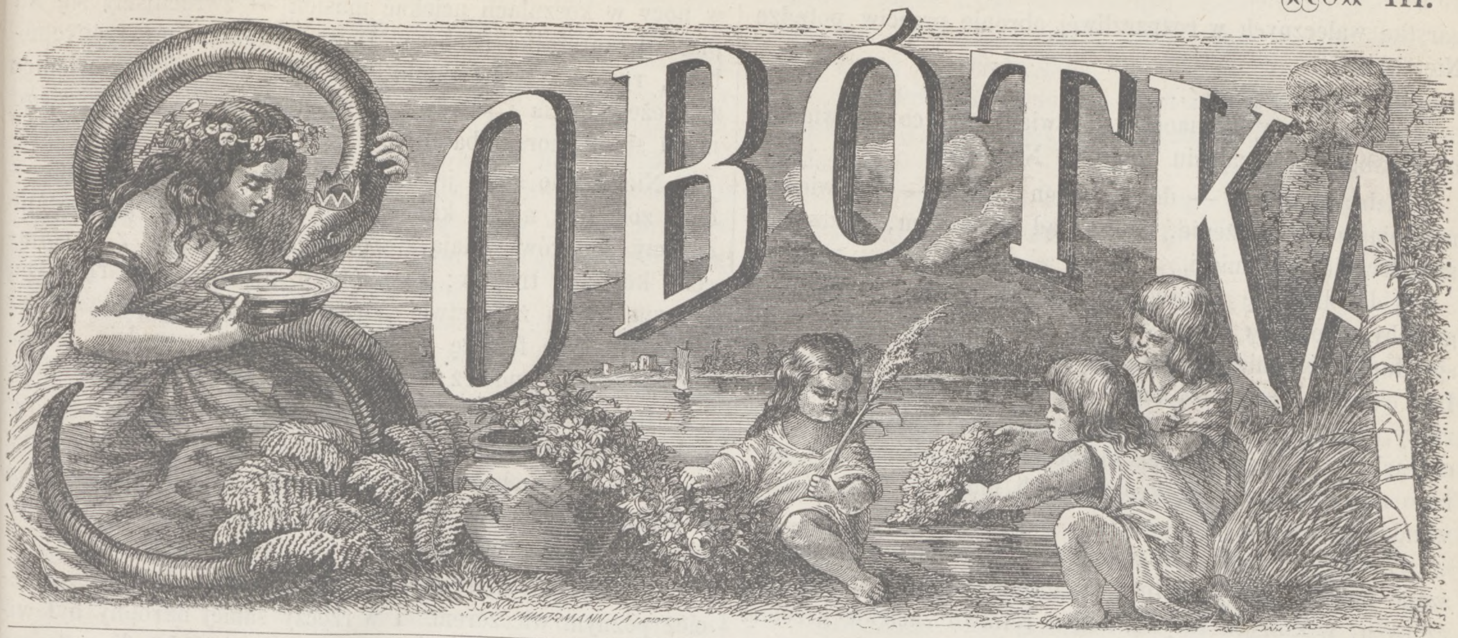
Nr. 2. Poznań, dnia 7. Stycznia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

STRASBURG

przez

J. Gordona.

(Z ryciną.)

Nikną męże, ludy sławne,
Grób na grobie się otwiera,
Nowe imię gasi dawne,
I sława sławę zaciera.
„Soli Deo honor et gloria.“

Nie jednokrotnie w życiu zwiedzałem Strasburg; ale nigdy owa wysunięta naprzód forpoczta francuzka nie wywarła na mnie tak miłego wrażenia, jak gdy raz pierwszy przebiegałem radosny jéj dzielnice, będąc jeszcze bardzo młodym wtedy.

Sympatya ku Francyi, którą niejako wyssałem z piersi macierzyńskiéj; jéj literatura, z którą byłem obznajmiony; swoboda i ochrona przed wrogiem, jakiéj doznałem dotknąwszy stopą gościnnego lądu po za Renem; wszystko to silnie oddziaływało na mą wyobraźnię.

Z dziecięcą naiwnością, ciekawy bez granic, z niedającą się opisać pociechą w sercu, zwiedzałem wtedy szczególności Strasburga.

W prześlicznem położeniu to miasto, liczyło około 80,000 mieszkańców — oddychało pomyślnością, bogactwem i wdziękiem.

Każdy wędrowiec mający zamiar obejrzenia ziemi francuzkiéj, musiał koniecznie zatrzymać się w téj pierwszéj strażnicy, aby nasycić oko zgromadzonemi w niéj obficie pomnikami ubiegłych czasów.

Dziś miasto to należy już niestety do przeszłości, odegrało już swoją wielką epopeję, dla tego wspomnijmy o niem nieco obszerniéj:

Początek Strasburga sięga odległéj starożytności. Według przeważnéj liczby historyków, założycielem jego był Drusus brat Tyberyusza, na 15 lat przed nar. Chrystusa.

Za czasów Cesarstwa Rzymskiego nosiło nazwę Argentoratum.

Spalone do szczętu przez Attyllę w 349. roku nowéj ery, odbudowało się w lat kilkanaście i otrzymało miano Strasburga.

Należało do Królestwa Lotaryngii aż do 1205 r., w którem stało się miastem cesarskiem. Od téj pory łączyło się z różnemi związkami miast niemieckich.

Do Francyi należy od traktatu Ryświckiego z 1697 r.

Wspaniała Katedra z najwyższą wieżą na świecie, bo na 142 metrów wysoką — z której przypatrywałem się niegdyś cudownym nadreńskim okolicom; — świątynia protestancka Ś. Tomasza z grobowcem Maurycego Saskiego, rzadkiem arcydziełem rzeźby z białego marmuru; — bronzowe posągi na placach: Guttenberga i Klebera, którzy w murach tego miasta ujrzeli światło dzienne; mnóstwo gmachów publicznych o wytwornéj architekturze, czyniło Strasburg ulubionem miejscem turystów.

I to miasto, ten sam Strasburg zginął teraz... choć w tak bohaterski sposób!

Słyszę grzmiący głos generałów, rozlegający się na wałach pośród trąb wojennych, i widzę wzrokiem wyobraźni

garstkę walecznych w rozpaczliwéj obronie przeciw potędze Niemieckiéj.

Sen to, czy jawa?...

Posłuchajmy od naocznych świadków, co opowiadają o Strasburgu po zajęciu go przez Niemców.

Zebraliśmy się — donosi jeden z nich — do zwiedzenia miasta, a wrażenie, jakie ztąd wyniosłem, pozostanie mi wiecznie w pamięci.

Udaliśmy się naprzód na plac Broglie. Wspaniałe gmachy, które tu niegdyś istniały, wszystkie prawie stały się łupem płomienia. Gmach mera całkiem postrzelany, Banque de France na pół spalony. Smutnie sterczą ruiny pięknego teatru, którego każda loża była w ostatnich czasach przytułkiem całéj nieszczęśliwéj rodziny, a z którego nic nie pozostało, krom nagich murów. Przerażający wandalizm!

Przed portykiem na wspaniałych schodach leżą pomięszane bez ładu kupy biletów, telegramów, listów krwią zbroczonych, w których turyści chciwi relikwii zaciekle grzebią.

Poszliśmy daléj ulicą du Temple Neuf, prawie zupełnie zgorzałą, ku nowemu kościołowi, będącemu w ruinie. Tu zburzono bibliotekę, spalono starożytności Schöpflina, mające wysoką wartość. Na popiele pojedyńczych kart można jeszcze pismo czytać; lecz z trudnością udałoby się zapewne najśmielszemu kombinatorowi złożyć z zwęglonych ułomków jednę z tych cennych ksiąg i rękopismów, traktujących historyę protestantyzmu, których strata jest nie do powetowania; bo w stracie téj ludzkości widzi próżną lukę jednéj epoki dziejów swojéj przeszłości.

Nagie i popękane mury kościoła wznoszą się pustką do góry.

„Pan Bóg wszystko naprawi!“ ozwał się któryś, z niosących za mną podróżne rzeczy, tragarzy, ogołoconych z domostwa, gdym o ich nieszczęściu z nimi rozmawiał. „Ja przestałem już wierzyć w Pana Boga“ dodał drugi.

Oto stoi przecież zachowany w pełnéj świetności i grozie ów pomnik starożytnego geniuszu niemieckiego, dzieło mistrza Erwina. Słońce wieczorne rzuca czerwone światło na kamienne ozdoby zewnętrzne. Kilka śladów od kul znać wprawdzie; po lewéj stronie olbrzymiéj fasady, narożnik galeryi oberwany, a krzyż na szczycie zgięty.

I malatury na szkle okien znacznie ucierpiały; a gdy się wnijdzie do kościoła, uderzy zaraz każdego widok pierwszego okna obok organów, na pół zniszczonego. Główna nawet rozeta ma szczerbę.

Zegar astronomiczny zupełnie dobrze zachowany — przynajmniéj na zewnątrz. Prawdziwa kompania pielgrzymska z żołnierzy, przypatrujących się temu cudnemu arcydziełu sztuki, porusza się wśród rozległego przybytku.

Tam klęczą w cichéj modlitwie kobiety, okryte żałobą, przed obrazem Matki Bożéj, tudzież zmartwychwstającego Jezusa, i proszą o przyczynienie się za osobami sobie drogiemi, poległemi w ciężkiéj doli.

Opuściwszy katedrę, — do któréj w chwili bombardowania miasta schronili się byli księża, lecz na okropny trzask wpadających tam przez dach pękających granatów, w nocy w koszulach uciekać musieli — zwróciliśmy się ku placowi marszałka Klebera. Dawny bohater pierwszéj republiki, rycerz z pod Piramid, ma na głowie zielony wieniec z świeżego liścia i patrzy z oburzeniem na to, że koło niego uwija się Pomorski batalion.

Nie dawno stało jeszcze na stronie bogate muzeum — dziś został z niego kamień na kamieniu. Pogruchotane odłamy posągów walają się po ziemi zmieszane z wystającemi kośćmi trupów; tu i owdzie popruszony barłóg, na którym leżało żołdactwo. Broni połamanéj o mury przez opuszczających fortecę obrońców ojczyzny, wszędzie można się napatrzeć, tudzież czerepów porozsadzanych granatów.

Równie jak muzeum, tak i mnóstwo innych gmachów, w które Strasburg był bogaty, stało się pastwą zniszczenia.

Gdy się w obec mieszkańców z swym żalem odezwiesz, odbierzesz odpowiedź: Idź pan na Steinstrasse, tam zastaniesz dopiero spustoszenie!

Już na pół martwy ze znużenia, udałem się tam przecież późnym wieczorem. I w rzeczy saméj okropny był widok, który mi się przedstawił. Quai Schöpflin sterczy wprawdzie samemi w pół popalonemi budynkami; lecz na Steinstrasse, która stanowiła główny fort bombardowania od strony Schlichtingheim, nie widzi się nic więcéj nad kupy gruzów, z których tylko gdzie niegdzie kawałek skopanéj ściany wygląda, podobnie jak w Pompei, z tą różnicą, że Pompeja mniéj zrójnowana.

Stali tam biedni ludzie, napróżno szukając swych mieszkań. Przy ucieczce powrzucali ruchomości do piwnic, i przyszli teraz aby się przekonać, czy jeszcze czego z swéj chudoby nie znajdą.

Lecz przystęp do tego padołu nędzy, którego odwiedzanie zagraża niebezpieczeństwem utraty życia, wzbroniony jest przez szyldwachy; a tak pozostalo tylko przybyszom zagłębić wzrok w te miejsca, gdzie przed wojną spędzali chwile pełne spokoju i dobrobytu, a gdzie śmierć i zniszczenie dokonały swego zadania.

Do cytadeli także bardzo trudno się dostać, trzeba mieć osobne pozwolenie, a to z powodu licznych robót, jakie się tam okazały potrzebnemi. Wyszukują broń, zwożą z tamtąd działa, podpierają opadające bramy, urządzają tymczasowe pruskie odwachy i t. p.

Cytadela cała prawie jest zburzona — niema tam ani jednego znośnego mieszkania.

Kilka lochów i szopy z desek zbudowane, a pokryte ziemią i darniną — to stało się ostatniem schronieniem walecznych obrońców, aż w końcu i w niem już pozostać nie mogli i musieli uchodzić; o czém wojska oblegające dopiero wtedy się dowiedziały, gdy zdemontowane po większéj części armaty zamilkły zupełnie.

„Tak okropnego obrazu jeszcze nigdy nie widziałem!“ — dodaje naoczny świadek.

W ostatnich czasach oblężenia, 60 bateryi dokonało tego dzieła.

Faubourg de Pierres (przedmieście kamienne) całe w rumowiskach! a do bramy niepodobna się dostać, gdyż ulica

prowadząca do niéj jest zawaloną. Nie tylko domy frontowe, ale i tylne padły ofiarą strzałów.

Kilkaset rodzin szukało przytułku pod wałami, otaczającemi kanał. Ze sprzętów domowych pourządzano baraki, których jedną ścianę stanowił wał. Kule zatem przelatywały po nad temi zaimprowizowanemi mieszkaniami.

Łatwo sobie wystawić los nieszczęśliwych, którzy się tam schronili. Wilgoć wydzielająca się z wału i brak żywności straszliwie dały im się uczuć. Kogo nie dosięgnął kartacz, padł owładnięty przez chorobę.

Dziwnego zaiste doznałem wrażenia, gdym przy powrocie do hotelu rzucił okiem na zakład przytułku i posilenia, na który zamieniono teraz jatki targowe, w bliskości placu Broglie. W długich rzędach siedziały tam niewiasty, dzieci, starcy i mężczyzni w sile wieku, wszyscy przez bombardowanie pozbawieni chleba, a żywieni już od dni kilkunastu, dwa razy na dzień, kosztem gminy; jest takich zubożonych 2600, z których wielu było bogatymi, a przynajmniéj zamożnymi.

Gdzie się tylko wzrok od rumowisk zwróci, napotyka w obecnym Strasburgu nędzę nie do wypowiedzenia, skutek długiego oblężenia.

Składy niemal wszystkie pozamykane i bardzo powoli zabierają się właściciele do ich otwierania. Z zatęchłych piwnic, do których otwory dotąd są nawozem pozatykane, a dokąd tygodniami nie przedarł się prąd świeżego powietrza, wydobywają się teraz mieszkańcy na świat Boży, pełen światła i ciepła.

Dzieci w kołyskach wyniesione na ulice, zaczynają wolniéj oddychać i blade ich twarzyczki nabierają potrosze rumieńców.

Chore kobiety przesuwają się chwiejącym krokiem, prawie wszystkie w czarne szaty przyodziane.

Nie tylko obcy, ale i tutejsi obchodzą miasto i przyglądają się zniszczeniu, ledwie własny swój gród poznając.

Gdy się zejdzie do piwnic, zastać tam można jeszcze zupełnie urządzone siedziby, poustawiane łóżka, stoły, krzesła, oświecone słabym płomieniem lampy.

Liczbę poległych z ran i chorób podają na 3000 ludzi.

* * *

Ażeby dać ścisłe pojęcie o zniszczeniu Strasburga, weźmy ku pomocy wykaz statystyczny. Kto nie dowierza słowom, musi uwierzyć nazbyt wymownym cyfrom. Są one bowiem niejako godłem naszego wieku. Zdawałoby się, iż świat cały zamienił w cyfrę.

I tak, sprawozdanie samychże Niemców — które właśnie mam przed oczyma — to jest sprawozdanie Towarzystwa zawiązanego dla niesienia pomocy zdobytemu miastu (które Niemcy za nieodwołalnie odebrane dla się uważają), w ten sposób przedstawia rzecz całą:

„Udaliśmy się zaraz, po przybyciu naszem do Strasburga, do mera miasta, Profesora Küssa. Odpowiedział on nam szczegółowo na niektóre pytania i odesłał do Strasburskiego komitetu wsparcia, składającego się obecnie z 20 członków.

„Według urzędowego obliczenia, liczy Strasburg z obwodem 5150 domów, miasto samo 3598. Ogólna tychże wartość wedle ksiąg hypotecznych oszacowaną jest na 160 milionów franków, a zatém każdy dom w przecięciu, nie całkiem na 40,000 franków.

„Z 3598 domów miasta, nieuszkodzone zaledwie liczyć można na sta; 448 jest zburzonych, inne mniéj lub więcéj uszkodzone.

„Ogromna strata towarów ztąd głównie powstała, że szczególniéj na przedmieściu de Pierres, zgromadzone były gęsto składy takowych, w stósunkowo mniéj kosztownych gmachach i magazynach.

„Wspomniany komitet usiłował rozmaitemi drogami dojść przez oszacowanie do słusznego obrachowania ogólnych szkód. Rozesłał on drukowane formularze, w które każdy z poszkodowanych zapisać miał liczbę członków rodziny, sposób, w jaki i jaką poniósł szkodę. Termin zwrotu owych formularzy oznaczony był na 12. Października (1870). Komitet dał nam atoli zestawienie 756 deklaracyi do 6. Października w południe nadeszłych (między któremi 290 dotyczy samych budynków).

„Deklaracye te zameldowały szkodę w budynkach na 2,264,582 fr.; w towarach i ruchomościach na 4,989,099 fr., razem 7,253,000 fr. Przeciętna szkoda przypadająca na każdego z 756 deklarujących (przyczem zauważyć należy, że nie ma jeszcze mowy o największych szkodach) wynosi 9,690 fr.

„Przypuściwszy, że będzie deklaracyi takich 4,000 wyniesie ogólna strata osób prywatnych w budynkach, ruchomościach i towarach 38,380,000 fr.

„Według innego oszacowania, podana jest szkoda wynikła z całkowitego zburzenia 448 domów na $16^1/_2$ milionów fr., strata w uszkodzeniach innych domów na 3—4 milionów fr.

„Inne obliczenia, zebrane przez adjunkta mera, przez rozmaitych budowniczych i kupców, daleko większe przedstawiały sumy i przenosiły o wiele 100 milionów.

„Tyle o szkodach prywatnych.

„Szkoda zrządzona przez zburzenie gmachów publicznych nadzwyczaj jest wielką — według najniższego oszacowania wynosi ona w kościołach 3—4 milionów, w szkołach 400,000 fr., w muzeum 500,000 fr., teatr 800,000 fr., prefektura 500,000 fr., mosty i drogi gminne 2,000,000 fr.; wartość zbiorów sztuki, a mianowicie biblioteka, nie ma ceny i nie może być odwetowaną; przez większą część bram nie ma przechodu; zakład gazowy zniszczony.

„Pociski zabiły 258 cywilnych, raniły przeszło 1100.

„Oprócz tego, żyje kilka tysięcy osób w piwnicach, kościołach, pod łukami mostów, nad wybrzeżami.

„Nędza w téj chwili zewnętrznie nie ukazuje się w takiéj postaci, w jakiéj się za kilka tygodni pojawi. Robotnicy bowiem w ostatnich tygodniach dość zarabiali oczyszczaniem ulic, strażami nocnemi w domach zagrożonych pożarem przez bombardowanie; cofano też z kasy oszczędności znaczne sumy, tygodniowo po 200,000 fr. co w innych latach dziać się zwykło dopiero w początku zimy.

„To pomocnicze źródło jednak już wyschło, gdyż kasa oszczędności największą część swych pieniędzy musiała oddać do kasy rządowej, która jéj ma płacić 4 za 100 procentu; lecz teraz ani kapitału, ani procentu nie oddaje.

„Niedostatek Strasburga jest we wszelkich kierunkach okropny! Widzi się tylko cząstkę takowego w ulicach przepełnionych tysiącami ciekawych cudzoziemców; kto zajrzy wewnątrz domów i rodzin, pozna go i przerazi się.

„Pomoc szybka, na wielką skalę jest konieczną!“

* * *

Co za traf, że wspaniała Strasburska Katedra pozostała!

Gdy spojrzysz na nią, olbrzymie mury, okopcone czasem, jedyne świadki dziejów kościoła tryumfującego, o które obcierają się wieki, zdają się przemawiać.

Gdy wpatrzysz się w ów przybytek pełen piękna w szczegółach i proporcyi w całości, w ten ogrom, który się rozpływa w swojéj lekkości, poznasz w nim geniusz — poczujesz w nim Boga!

Po wysmukłych, ażurowych, piętrzących się wieżyczkach, myśl twoja wznosi się coraz wyżéj.

Wnijdź do przybytku, ujrzysz harmonię w rozkładzie filarów, łuków; i jak boska muzyka Hajdena lub Mozarta, tak tam architektura wpłynie na ciebie, bo go naród artysta stawiał, a stulecia uświęciły.

Zmrok w nim panuje — czasem słońce rzuci z różnoszybnych okien, w kolorach tęczowych promieni, obraz zmartwychwstania przed oblicze cierpiącego śmiertelnika.

Taki przybytek może służyć dla każdego wyznania, byle wyznanie to było godne ludzkości i Boga.

Tam szczytne płody budownictwa, rzeźby, malarstwa, muzyki, poezyi lirycznnéj, współubiegają się z westchnieniem modlącego się.

Porównywałem Katedrę Strasburską z cerkwiami w Bizantyjskim stylu, o pięciu farbowanych jaskrawo kopułach, obsypanych gwiazdami i złoconemi baniami na szczytach — których napatrzyłem się był w Moskwie, téj Jerozolimie rosyjskiéj. Nie tylko, że nie budzą one myśli poważnéj, wyglądając jak jasełka z piernika, ale nadto zniżają umysł do materyi i przypominają rozkoszne świątynie pogańskie; gdy gotyckie gmachy podnoszą ducha w nadziemskie sfery.

Tak każdy okres historyi narodów zostawia niezatarte ślady na kamieniu architektonicznym, o który jak mówiłem, w przebiegu swym obcierają się wieki.

Ilekroć razy zwiedzałem Katedrę Strasburską, zastałem ją zawsze pustą — nie trafiłem nigdy na nabożeństwo, które w tym przybytku musi się odbywać z wielką okazałością. Tam i owdzie tylko ukazywały się wśród nawy klęczące postacie, które podobne były z daleka do drobnych figur bronzowych. Gorzała lampa przed wielkim ołtarzem, posągi świętych zdawały się być wśród cieniów kościelnych z krepowemi całunami na obliczach, a z granitu wystrzygane fryzy w czarne koronki ubrane.

Słowem, pyszne prace rzeźbiarskie, zdobiące zewnątrz i wewnątrz kamiennym jakoby haftem poważne mury; tudzież sute ornamenta przy osadach okien i podwoi, kosztownemi wyłożonych taflami snycerskiéj roboty; a nadewszystko szpiczastym szczytem śmiało strzelająca w obłoki wysmukła wieżyca, czynią z téj katedry najpiękniejszy w świecie gotycki pomnik.

Drugi w tym rodzaju posiada tylko Kolonia.

BOŻE NARODZENIE

przez

K. Wł. Wójcickiego.

(Dokończenie.)

W drugi dzień Bożego Narodzenia przypada świętego Szczepana, i równocześnie zwyczaj poświęcania owsa. Obrzęd ten zachował się tylko w Polsce i w sąsiednich z nią krajach; gdzieindziéj zupełnie nieznany.

Wieśniacy w czasie nabożeństwa, gdy kapłan idąc środkiem kościoła święcił ich wodą święconą, zwykli rzucać na niego garściami owsa. Ludowe podanie mówi, że to robią na pamiątkę, że tego świętego umęczono rzucaniem kamieni: lecz tradycya ta mylną jest, znając bliżéj wioskowy obyczaj.

Od wieków, w ten dzień kończy się zwykle rok służby czeladzi u gospodarzy, którzy jéj jak dawniéj nie pieniędzmi ale zbożem, a najwięcéj owsem płacili. Słudzy więc cząstkę tego zboża przynosili do poświęcenia, aby Bóg temu ich dobytkowi błogosławił i na dobre go użyć dopomagał. Naśladowali oni w tem swoich gospodarzy, którzy zebrawszy plenne zboża z pola, niosą do kościoła do poświęcenia, szczególniéj w dzień uroczystości Wniebowzięcia Najświętszéj Maryi Panny i kiedy do nowéj siewby przystępują. Ztąd z czasem weszło w zwyczaj, że nietylko słudzy ale i gospodarze dnia drugiego Bożego Narodzenia, owies do poświęcenia przynosić zaczęli i cząstkę z niego rzucali pod stopy kapłana.

Stare Mazurskie przysłowie mówi na całym Powiślu:

„Na święty Scepon,
Kazdy se pon.“

To jest, że na świętego Szczepana każdy jest sobie panem, bo podziękowawszy za służbę i nieprzyjąwszy nowych obowiązków, przez parę dni może żyć swobodnie i wolen troski, dopóki nie zostanie u dawnego gospodarza, albo nie przejdzie do nowego.

Od pierwszego dnia Bożego Narodzenia, zaczynają się pieśni kolędowe i kolęda.

Żadne z świąt przypadających w ciągu całego roku, nie zespoliło się tak z myślą i sercem naszego ludu, jak uroczystość Bożego Narodzenia. A były po temu przeważne powody.

Przedewszystkiem, w czasach przedchrześcijańskich, przypadała właśnie o téj saméj porze wielka uroczystość zwana Gody, któréj pamięć mamy zachowaną nietylko w samym tym wyrazie, oznaczającym poważny a wesoły obrzęd," jak



Bombardowanie Strasburga.

np. Gody weselne, ale i w pozostałych ludowych przysłowiach: „Niezawsze gody, przyjdą głody.“ „Gody w czasie chłody, wypędzają głody.“ Bo za prawdę o téj porze mroźnéj, żaden rólnik głodu uczuć nie może.

I w czasach pogańskich, pieśnią i ucztami te Gody obchodzono. Obalono bałwochwalstwo, — i właśnie do tego czasu przywiązali pierwsi Apostołowie pamiątkę narodzin Zbawiciela. Lud sercem wprędce do niéj przylgnął, bo jakiż mu się obraz w umyśle odmalował? Oto w ubogiéj stajence, na sianie rodzi się ten, co ma zbawić świat cały. Jego nauka zaleca miłość i braterstwo, jednoczy wszystkich ludzi bez różnicy stanu i mienia pod swoim krzyżem. Któż téj świętéj dziecinie pierwsze hołdy składa: oto pasterze, co pierwsi przed Trzema Królami, ujrzeli gwiazdę jasną nad Betleem i za tym światłem pobiegli składać jej skromne swoje dary, pozdrowienia i hołdy. To też w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, improwizatorowie ludowi zaczęli tworzyć religijne pieśni zwane pastorałki, wyrażając w nich z właściwą sobie prostotą i naiwnością, radość serdeczną z urodzin Boga-człowieka, tak zbliżonego ubóstwem do wieśniaczego rodu. W tych pastorałkach niebo kojarzy się z ziemią. Omijając wspaniałe zamki i pałace, pojawiają się pobożnemu a staremu Bartoszowi Anioły:

„Którzy wdzięcznemi, głosami swemi
Okrzyknęli ziemskie padoły:
„Na niebie niech chwała, Bogu będzie trwała,
„A ludziom pokój na ziemi!
„Pasterze! wstawajcie
„Pana witajcie,
„Pokłon mu oddajcie,
„Skoczno mu zagrajcie,
„Głosy zaśpiewajcie
Zgodnemi!‘

Wśród zbiorów tego rodzaju poezyi ludowéj, — jeszcze się przechowały u nas takie, które przy badaniu umiejętnem, krytycznem, noszą na sobie wszystkie cechy dalekich czasów przed Kazimierzem Wielkim i sięgających pierwszego wieku Chrześcijaństwa w Polsce.

Równocześnie z Godami przypadał obchód w pogańskich wiekach, na cześć bóstwa Ko-lady, które było godłem kojarzenia ludzi, zgodą i miłością, czyli prowadzenia go do ładu, (Ku-ładu). Dla tego też mnóstwo pozostało pieśni tak zwanych kolędowych, które żadnego związku niemają z obchodem Bożego Narodzenia, a zbiór ich stanowi jedną z najpiękniejszych wiązanek poezyi ludowéj.

Zwyczaje obchodzenia z Turem lub Kozą, w których chłopcy przebrani za te zwierzęta, i naśladując ich ruchy, przy dźwięku skrzypic, lub fujarek, zbierali dary, dla wyprawienia z nich sobie następnie uczty świątecznéj; należą do owych Gód i starożytnéj Ko-lady. — W języku naszym przechowały się u ludu pamiątki tych obrzędów, w przysłowiach: „Chodzić z Turem.“ „Skakać Tura.“ „Mięsopustnego Tura dzieci się strachają.“ albo też: „Biegać jak z wilczą skórą po kolędzie.‘ bo wiejscy chłopcy w miejsce przebierania się za tamte zwierzęta, obchodzili domy, obnosząc skórę wilczą, albo też żywo pochwycone młode wilczki z lasu, śpiewając przytém starodawne kolędy.

Tak w narodzie naszym rolniczym, święta Gód i Ko-lady, zespoliły się łatwo z uroczystością chrześcijańską i wydatne jeszcze swoje oblicze, wśród Bożego Narodzenia wykazują.

I łatwo pojąć dla czego pamięć się ich przechowała, bo treścią tych Gód i Ko-lady, była miłość, zgoda i braterstwo, pomiędzy ludźmi na tym Bożym świecie.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ksiądz Leon mieszkał obok plebanii w nowszym nie wielkim domku, który wikaryą nazywano. Od niedawna przysłano go Kanonikowi w pomoc, nie pytając wcale czy mu ten towarzysz i współpracownik będzie po myśli. Zdaje się, że młody duchowny miał silne w górze plecy i że go przeznaczono na lepsze i wyższe jakieś miejsce, a tymczasowo tylko dano mu tutaj przytułek. Widać było po nim, jego zgryźliwém usposobieniu, sposobie życia, humorze i obejściu się z Kanonikiem, iż czuł się podrzędném owém stanowiskiem upośledzony. Mówiono, że był bardzo uczony, oprócz bowiem seminaryum dyecezalnego i akademii w Niemczech, jakiś czas był na studyach w Rzymie i z tamtąd powróciwszy czuł się powołanym do stérowania témi, którzy w Propagandzie i Sapienzy nie zaczerpnęli tradycyi. Sądził, że użytym zostanie przy stolicy Biskupiéj lub samym pasterzu, że osiągnie profesurę w szkole duchownéj, a skończyło się na tymczasowym wikaryacie i to jeszcze przy Kanoniku, z którym trudno mu się zgodzić było.

W tych dwóch ludziach dwa przeciwne systemy i wykłady nauki chrześciańskiéj się uosobiały. Kanonik brał z niéj wszystko co było miłością, dobrocią, słodyczą, przekonaniem... Ks. Leon wybierał z upodobaniem: grozę, strach, surowość nieubłaganą. Pierwszy z nich pociągał ku sobie otwierając ramiona ku ludziom, serce dla ludzi; — drugi piorunami ciskał, przerażał i strachem chciał świat prowadzić.

Dla Kanonika litera była równie świętą jak duch ewangelii, lecz z faryzeuszowską drobnostkowością nie przywiązywał się do niéj; spokojny będąc w sercu, bo ją pojmował z miłością wielką; dla ks. Leona litera była wszystkiém,

po za nią nie widział nic. Różnili się też wielce i w innych swych pojęciach obowiązków, świata, ludzi... a najbardziéj tém, że Kanonik był otwartym i szczérym, ks. Leon zamkniętym, napuszonym, i wiecznie jakby rozgniewanym.

Niewidziano go nigdy z twarzą wesołą. Z ambony grzmiał i piorunował jakby nie słodkiego Jezusa, ale groźnego Jehowy był kapłanem. Po kilku pierwszych próbach, nawet w dnie odpustu i ścisku konfesyonał, w którym ks. Leon spowiadał był pusty, gdy do Kanonika tłumem się cisnęli ludzie. To zwiększyło jeszcze gniew wewnętrzny ks. Wikarego, który utrzymywał, że parafia była zdemoralizowaną, popsutą i potrzebowała wielkiego rygoru, aby wyjść z tego rozprzężenia. Nie taił on się z zarzutami przeciwko Kanonikowi i ten wiedział dobrze, iż nie miał w nim przyjaciela, ale go wymawiał, tłómaczył i nie miał mu tego za złe.

,,Bo to, widzicie" mawiał cicho „młody jest, jak zwykle gorliwość go unosi, co rzecz chwalebna... Przy tém uczył się w Rzymie, ma nauki wiele, a myśmy tu zardzewieli i od lat długich Ojców Św. nie czytujemy, w wielu rzeczach lepiéj od nas poinformowany... Dajcie mu pokój..."

Dano mu w istocie tak dobrze pokój, iż nikt się do niego niezbliżał, nikt nie żył z nim i Wikary został ze swą zgryzliwością odosobniony zupełnie. Obejście jego z ludźmi tém bardziéj jeszcze stało się szorstkie. Nie można mu było w pełnieniu obowiązków nic zarzucić, a życie prowadził wielce przykładne. Jedynym domem otwartym dlań tutaj był, tak zwany pałac dziedziców hrabiów Skwirskich... Miasteczko, kilka wiosek i folwarków należały do téj rodziny, niegdyś możniejszéj jeszcze, teraz dość bogatéj, ale, jak powiadano, nieopatrznym zbytkiem goniącéj ku ruinie. Rodzina ta, która za panowania Saskiego dopiero ze szlacheckiéj wyniosła się na magnacką, i protekcyą Augusta III dorobiła się tytułu, majętności, kolligacyi, znaczenia i imienia; acz Polska nazwiskiem, zaledwie się nazwać mogła polską obyczajami i życiem... Jak wiele rodzin pańskich u nas, znosiła swój pierworodny grzech polszczyzny, będąc kosmopolityczną i nienawidząc wszystko, co wybitniéj polskiém było.

Domyśleć się łatwo, że wszyscy jéj członkowie wychowywali się lub nie w kraju albo nie przez krajowców, a starano się im od dzieci nadać wyższy polor, poczucie swéj wielkości i pogardę polonizmu, którego lękano się jak ognia. Żaden z członków familii nigdy do pracy narodowéj, do patryotycznych szaleństw nie należał; wszyscy mieli sobie wpojoną nienawiść rewolucyi, demokracyi i chauvinismów wszelkiego rodzaju. Katolicy byli wielce gorliwi, ale na sposób nie polski, to jest nosili na sobie skorupkę katolicką wielce obcisłą, nie czując się obowiązanemi nią do niczego więcéj prócz praktyk kościelnych, w życiu nie wiązali się niczém... znajdując, że na to mieli dyrektora sumienia i spowiednika, ażeby ich rozgrzeszał.

Żyjąc po większéj części za granicą, bo Skwirscy w kraju mało mieli stosunków, żadnego związku z życiem jego, najwyższą wzgardę dla swych współziomków i największą obojętność na losy Polski i prowincyi, w któréj niby to zamieszkiwali.

Rodzina składała się z hrabiego, który był sławnym na europejskim turfie sportsmanem, a lubił się włóczyć po świecie, po dworach, po wodach i stolicach...; z saméj hrabinéj, która miała dwór swój i żyła całkiem osobno w wielkim świecie paryzkim, naostatek z syna piastującego godność szambelana i bawiącego się bez różnicy w domu, za domem, byle zawsze w przyzwoitém towarzystwie duków i hrabiów, figur urzędowych i wysoko położonych. Młodszy syn był jeszcze w jakimś zakładzie OO. Jezuitów w Belgii, zkąd miał na dokończenie wychowania jechać do Londynu i Paryża.

Mimo upodobania w wędrówkach, trafiało się czasami, że któryś z członków dostojnéj familii na czas krótki zawitał w ojczyste progi, szczególniéj gdy się potrzeba było zaopatrzeć w ten nervus rerum, bez którego się nie podróżuje, nie bawi, a nawet trudno być przyzwoitym człowiekiem... Naówczas pałac zawsze gotów na przyjęcie państwa, stawał na odpowiedniéj stopie, służba przywdziewała przepyszną liberyę, następowały polowania, kursa, bale, teatr francuzki, zabawy i rozrywki, o ile na nie nasz kraj barbarzyński i ubogi mógł starczyć. Niekiedy dla oryginalności zapraszano lordów, duków i znakomitości europejskie zachowawczego obozu. Długi były ogromne, majątek obciążony, wymagania przez to nie zmniejszały się wcale, można było przewidywać nieuchronną ruinę, lecz, jak zwykle w razach podobnych, życie na pańską skalę, śmiałość, pewna zręczność w prowadzeniu interesów oddalały chwilę fatalną, w któréj wszystko runąć miało.

Żaden z naszych magnatów nie wierzył nigdy do ostatka, ażeby mógł upaść. O pracy, o zajęciu się interesami, o jakiéjkolwiek rachubie mowy nawet nie było. Trzymano do tego plenipotenta, który robił razem pańskie i własne interesa; a majętność była wydzierżawianą folwarkami. Właśnie pan Ostójski trzymał jeden z najznaczniejszych.

Z kilku rysów poprzedzających domyśli się każdy, iż tu ksiądz Kanonik w wyszarzanéj swéj sutannie, źle mówiący po francuzku, nie umiejący w salonie przyzwoicie się znaleźć — zresztą mocno posądzany o tendencye demokratyczne, dobrze widzianym być nie mógł. Formy wymagały tego, ażeby w kaplicy pałacowéj, w razie bytności państwa odbywało się regularnie nabożeństwo — wzywano na to ks. Wikarego, który od razu łaski sobie wszystkich zaskarbić umiał. Pokorny, ugrzeczniony, znający Paryż, Niemcy i Rzym, co do ludu mający pojęcia zdrowe, nie bawiący się w zakładanie szkółek niepotrzebnych i sentymentalnych ochronek, głoszący zawsze, że oświata tylko w małéj dozie i z ostrą religijną przyprawą ludowi jest potrzebną, aby nie mnożyła niebezpiecznego proletaryatu intelligencyi — ks. Leon lubionym tu był bardzo. Hrabina spowiadała się u niego i znajdowała go bardzo uczonym i wybornym dyrektorem sumienia, młody hrabia lubił z nim pogadać, a stary widział go z przyjemnością u swojego stołu. Równie dobrze był ks. Leon z plenipotentem hrabiów, którym był niejaki Margocki.

Przeszłość jego ciemna jakaś i nieodgadniona, w życie jego głębiéj wejrzeć nie dozwalała. Zjawił się na horyzoncie przy dworze i osobie starego hrabiego, zrazu jako miły

rezydent, doradzca i factotum. Pośredniczył w pożyczaniu pieniędzy u żydów i chrześcian, posyłany bywał gdy hrabia sam gdzie jechać sobie nie życzył, a w końcu z tego faktora wyszedł naturalnym awansem na pełnomocnika... Sama hrabina dosyć go téż lubiła, a niemożna było nielubić w istocie. Żadna rękawiczka nie jest podatniejszą od niego. Znać na nim było wychowanie wyborne, wielkie otarcie w świecie, pojęcie jego życia potrzeb, zamiłowanie zbytku i elegancyi, ton miał doskonały, trafność w postępowaniu niezmierną, a przytém — co w takim domu wiele znaczy — prezentował się tak pięknie, mówił, chodził, tańcował z takim szykiem arystokratycznym, iż hrabina często patrząc nań przez nieopuszczającą ją nigdy lornetkę, mawiała:

„Savez-vous, ja się zawsze muszę dziwić z kąd Margocki prend ce grand air. Nabrał go u nas, to pewno, mais l'avoir su se l'approprier si bien!“

Margocki zastępował gospodarza, bawił gości, urządzał partye, obmyślał zabawy, szukał pieniędzy, opędzał natrętów i przytém wszystkiém miał dobry humor niczém nie zachwiany. . a choć nie zbyt młody, powierzchowność bardzo miłą. Łysina go nawet nie szpeciła. Ubrany zawsze wedle ostatniéj mody, wyświeżony, za interesami państwa jeździł z ich liberyą powozami i końmi najlepszemi; lubił się bawić na swoją rękę, zawsze w dobrém towarzystwie tylko, pił i grał jak niemożna lepiéj. W kółku któremu się wyłącznie poświęcał, był, można powiedzieć, ukochany. Z wielu sobie podobnymi, okręcając się ciągle w dostojném kole, sam miał się za pana, za arystokratę i za coś nad gmin lepszego. Nie krył się wcale ze swą wzgardą dla dorobkowiczów, dla ludzi nowych, dla... proletarjatu... Proletarjatem tu zwało się wszystko, co nie chodziło w białych rękawiczkach i nie mówiło po francuzku... Nikt téż niemiłosierniéj nie szydził z naszych sans-culottów, liberałów i demokratów, patryotów i polonusów.

Słowem Margocki był stworzony dla hr. Skwirskich, jak oni dla niego. Jak ich interesa robił, sądzić było trudno — to pewna że, mimo olbrzymich często w podołaniu im trudności, zawsze sobie jakoś dał radę. Ks. Leon był z nim bardzo dobrze, łączyła ich wspólna nienawiść ku Kanonikowi — którego Margocki wprost — czerwonym i rewolucyonistą nazywał. Nie mógł mu tego darować, że raz na plebanii przez długi czas dwóch rannych ukrywał powstańców... W czasie pobytu hrabiowstwa i w czasie ich niebytności także, plenipotent zamieszkiwał jedno ze skrzydeł pałacu, gdzie życie wiódł co się zowie wystawne, wygodne i wesołe. Miał cały dwór, kuchnią i stajnią na usługi.

Dobrze o podal od pałacu, parku, stajen i zabudowań dziedziców, stał folwark gospodarski, dla saméj pompy wspaniale wymurowany i zdala bardzo pokaźny. Pół drewniany, na pół murowany dworek skryty za zabudowaniami temi, otoczony sadem owocowym, był mieszkaniem pana Ostójskiego, dzierżawcy. O ile rezydencya hrabiowska piękną była i artystycznie urządzoną, o tyle tu gdzie się mieścił dzierzawca, nic dla uprzyjemnienia mu życia nie przedsięwzięto. Szczera, surowa proza prawdziwéj pracy otaczała dworek nie powabny, a nawet nie bardzo wygodny. Dopominał się pan Ostójski o niektóre ulepszenia, ale go zbywano to tém to owém: i na żadne zezwolić nie chciano. Szczęściem nie mając licznéj rodziny, bo był wdowcem, a jedna tylko córka mu z kilkorga dzieci pozostała i jedna siostra niemłoda panna... obywał się tém co miał. My tu, powiadał, nie dla przyjemności żyjemy — to warsztat do robienia pieniędzy... dobrze że się człowiek do tego przywiązać nie może.

Ale, choć to się tak mówiło — Ostójski od lat kilkunastu dzierżawił folwark, przy każdém odnowieniu kontraktu zaprzysięgał się, iż dłużéj trzymać go nie chce, potém ze ze strachu przenosin, kłopotu i z żalu po miejscu — zostawał. Ostójski był dobrym i pracowitém gospodarzem, a co lepiéj, poczciwym człowiekiem. Żył trudem i kłopotami na które narzekał, a których gdyby mu zabrakło... z nudy by umarł pewnie. Drugą życia jego podporą była — córka jedynaczka. Kochał ją nad wszystko na świecie, był dla niéj ojcem, matką, przyjacielem, sługą... i psuł dziewczę jak tylko mógł najsłodziéj i najpokorniéj. Czego Zośka chciała... to musiało się stać, bądź co bądź... panowała tu Zośka... rządziła Zośka... rozkazywała Zośka... słuchali wszyscy...

Nie popsuł jéj wszakże poczciwy ojciec, bo dziecko było dobre, rozpieścił tylko i roztkliwił.

Zosia wychowaną była z największym staraniem, miała najlepsze guwernantki, najdroższych metrów, dla jéj przyjemności ojciec nawet, zdawszy gospodarstwo na łaskę Bożą, jeździł raz trzy miesiące po Europie, aby jéj Paryż, Włochy i Szwajcaryą pokazać. Zosia była piękną bardzo, silną, zdrową, czarno-brewą, polską, wesołą, ruchawą, swawolną, a umiała się przymilić bez zalotności nietylko ojcu, ale każdemu kto ją widział. Czuć w niéj było serce szlachetnéj polskiéj dziewoi, otwarte ku wszystkiemu co dobre, piękne, wzniosłe i poczciwe... Z wielką pracą uczono ją grać, śpiewać, rysować, grała téż, śpiewała i rysowała wcale ładnie, ale nie była artystką. Wolała książkę, poezyę, opowiadanie, ogródek i kwiaty.

Jakby dla pohamowania téj roztrzepiotanéj ptaszyny, siostra pana Ostójskiego, panna Klara, osoba lat pod pięćdziesiąt mająca, była niesłychanie sztywna, poważna, wysznurowana, wyszukana w mowie, ostrożna w postępowaniu i na pozór zimna. Ona tu przestrzegała przyzwoitości, stanowiła wędzidło i hamowała ojca i córkę często zbyt formy zaniedbujących.

Panna Klara niegdyś u hrabiowstwa X.... przebywała dosyć długo jako towarzyszka i przyjaciółka hrabinéj, z tego staroświeckiego domu wyniosła wspomnienie wielu form i zwyczajów, których teraz niezmiernie ściśle przestrzegała. Ostójski wierzył w nią i słuchał jéj do pewnéj miary, to jest o tyle o ile Zosia pozwoliła. Zosia kochała ciocię, ale troszeczkę się z niéj czasem śmiała i nie wierzyła, żeby tak surowo należało pilnować zastarzałych jakichś zwyczajów.

(C. d. n.)

KOŁYSANKA.

Tekst do muzyki R. Szumana p. t. Schlummerlied.

Ona.

Skroń w méj małéj złożył dłoni,
Tętni burza w jego skroni,
Ja ją w ciszę
Zakołyszę,
Sen spowiję taśmą tęcz.

Któż wypowie
W ludzkiéj mowie
Jak go kocham, kocham!...

W ustach ściętych widać mękę,
Ja całuję jego rękę,
Sen go strudzi,
Niech się zbudzi.
Piosnko moja głośniéj dźwięcz!...

On (przez sen).

My rozbici na okruchy
A nad nami krwawe duchy.
Żaden zasług nam nieprzyzna,
Każdy pyta: gdzie ojczyzna?...
Gdzie ojczyzna?!...

Porwał mnie wir zawieruchy,
Przodem lecą krwawe duchy...

Ona.

Jak podzielić z nim katusze
Lub rozjaśnić jego duszę?...
Zbędę trwogi,
Dźwięk mu drogi
Rzucę w jego bolu zgrzyt.

Tęskno, głucho
Szepcę w ucho
Ja cię kocham, kocham!...

Promienieje zwolna głowa —
Czy to czar mojego słowa?
Czy natchniony
Wzleciał w strony,
Zkąd dla Polski wschodzi świt?...

w Grudniu r. 1870.

KORNEL UJEJSKI.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ale przekonani, że u nas młodzież na wydaniu płci męzkiéj nawet polskiego kalendarza nie czyta i że opowiadanie to, w najszczęśliwszym razie tylko pod panieńskie oczęta podpadnie, nie rozszerzamy się nad tym smutnym przedmiotem, by nie rozbudzać pełnych smutku i melancholii myśli niejednéj z czytelniczek naszych...

Owoż tedy, panny Sydońskie wegetowały... Wprawdzie na balach w Pleszewie i na wieczorkach tańcujących w domu i w sąsiedztwie, młodzież koło nich się wiła literalnie, a obie tańczyły do upadłego zawsze, wprawdzie w upajającéj atmosferze tańca, zwłaszcza nad rankiem, ten i ów takie oczy robił, takie komplementa prawił, że przysiądz byłoby można, iż na drugi dzień się oświadczy... ale praktycznego rezultatu, nie było dotąd żadnego... Niejednemu z owéj młodzieży śniła się prawda Halinka lub Julia przez kilka nocy, a gdy wypoczywając po balu i otaczając się dymu kłębami marzyć zaczął, widział ją, widział jéj wdzięczną postać przy sobie, i słyszał srebrne jéj głosu dźwięki i dłoń jéj białą a miękką czuł na swojém czole i... i... wiele innych rzeczy... I było mu z tém leko, przyjemnie, roskosznie...

Ale pomarzywszy tak trochę, powstawał raptem, odrzucał fajkę na bok, wyciągał się, że aż w stawach trzeszczało, i poziewając mruczał pod nosem:

— At! głupstwo!... niema o czém myśleć!... goła i basta!... A tu trzeba siostrę spłacić, a Lachmana zaspokoić... a urządzić się przyzwoicie.... Andzia wygląda jak tyczka od chmielu i ma zyza w dodatku... ale co robić?... niech pioruny zatrzasną!...

I młodzieniec gwiżdżąc kazał zaprzęgać, i do Andzi jechał...

A Halinka i Julcia wegetowały...

Ludzie szeptali, że Halince coś około 24 latek się kresi, a Julci także niedaleko do tego. Może w tém było przesady nieco, ale w każdym razie niewiele, boć się panienki już dobrze wyhulały. Wegetacya ta jednak niezostawiła na nich zbyt widocznych śladów. Znikła może olśniewająca świeżość lat siedemnastu, życie starło ów puszek brzoskwiniowy, ale za to formy się wypełniły, zaokrągliły, wypiękniały. Bystry przecież spostrzegacz byłby zauważał, że Halinki dowcip i wesołość zaczęły się zamieniać w ironię i sarkazm, a poetyczny spokój Julki w melancholię i zamyślenie smutne.

Za to mama i papa niecierpliwili się już na dobre. Pani Sydońska zapuszczała się często w szerokie rozprawy nad upadkiem dzisiejszéj młodzieży, a we cztery oczy robiła wyrzuty mężowi, że o niczém nie myśli tylko o preferansie. Pan Aureli zaprzysięgał się na miłość Boga i cnotę, że nie-

raz całe noce wzdycha nad panieństwem cór swoich, że właśnie preferans jest doskonała przynęta na dzisiejszą młodzież, i wreszcie z goryczą dodawał:

„Gdybyśmy wygrali, moje dziecko ze sto tysięcy na loteryi, zobaczyłabyś, jakieby to apsztyki były koło naszych dziewcząt... At!... bieda z córkami... czemużeś chłopców mi nie dała?“

Takim zarzutem, na który odpowiedzi nie było, zbywał Sydoński żonę i własne uspokajał sumienie.

II.

Ale jest stare przysłowie twierdzące, że każda swoja, swojego znajdzie, a przysłowie to należy do liczby tych nie wielu, które pewną dozę prawdy mieszczą w sobie

Otóż przyszła koléj i na nasze bohaterki.

Na lat dwa przed rozpoczęciem mojéj powiastki, w sąsiedztwie Małéj Woli (tak się wioska Sydońskich nazywała) osiadło na obszernéj dzierzawie dwóch braci Cichowskich. Nazywano ich Marmurkami, bo się zawsze trzymali razem, bo jeden bez drugiego nie ruszył się nigdy, bo byli nawet do siebie bardzo podobni, tylko że starszy był bladszym a młodszy brunet.

Przybyli oni z Prus Zachodnich, niemieli znajomości żadnych w tamtych stronach i żyli zupełnie zamknięci w domu. Że zaś siedzieli tylko na dziesięcinie a nie na dziedzictwie, więc ich zostawiono w spokoju, nie interesując się bardzo nimi.

Z ukrycia i z zamknięcia tego wydobył ich dopiero szczególny wypadek. Na polach Małéj Woli znajdowało się kilka mogił rozmaitéj wielkości. Leżało to bez użytku, zajmując parę morgów ziemi. Pan Aureli, który w chwilach od preferansa wolnych, miewał zachcianki agronomicznych melioracyi, wpadł na pomysł, żeby kopce te nagie i piasczyste obsadzić brzeziną i zamienić na małe laski, a raczéj kląby, jak to widział u barona Schönfelda w sąsiedztwie.

Ale gdy przystąpiono do kopania dołków, natrafiano od razu na coś twardego i zaczęto wydobywać urny, łzawnice i rozmaite inne drobnostki, a między niemi gęsto stare pieniądze.

Hałas ztąd powstał wielki, i zaczęto w okolicy gadać, że p. Aureli wielkie skarby odkrył. Pogłoska ta taką nawet wiarę znalazła, że p. Bolesław, który się niby podkochiwał w Julii a ożenił z Franią Bogucką, zaczął rozmyślać, azali głupstwa nie spłodził, żeniąc się z panną mającą tylko 20,000 talarów i nieładną, a porzucając piękną i z nieokreślonym skarbem.

Do utwierdzenia téj pogłoski przyczynił się nieco także i sam p. Aureli. Zapytywany bowiem przez sąsiadów, zaprzeczał niby, śmiał się, ale zaprzeczenia te i śmiech miały pozór wcale nie serdeczny.

„Co też to ludzie z niczego zrobią!...“ mawiał niby dobrodusznie, „zaraz z myszy jelenia!... Było tam coś... ten tego, ale to znów takiego hałasu nie warto.“

„Aha!“ pomyślał sobie słuchający tego, „kuty schlachcic... niechce się przyznać.“

I jedni wierzyli a drudzy nie.

Wykopaliska te jednak, które z początku p. Aureli, także w duchu spodziewający się skarbu kazał rozszerzyć, sprowadzały dosyć ciekawych do Małéj Woli, z czego gospodarz korzystał werbując ich do preferansa. Czasem też gdy marcowe pozwoliło powietrze i panie spacerem szły na kopiec, przypatrzeć się robocie.

Otóż w czasie jednego z takich spacerów, na rozkopanym piasku panny Sydońskie poznały braci Marmurków. Cichowscy usłyszawszy o skarbach, urnach, łzawnicach itd., przybyli także zobaczyć stare uroczyska słowiańskie, a los chciał, że zastali tam Halinkę i Julcię wraz z matką. Wypadało się zapoznać i przedstawić. Młodzi sąsiedzi byli wprawdzie w barankowych czamarkach i butach grubych, ale na wsi takie rzeczy uchodzą. Pojechali więc na kawę do domu, potém zostali na herbatę, i ciemno już było w chatach chłopskich, gdy dwaj bracia po błotnistéj drodze, stępem wyjeżdżali za wrota.

Długo jechali milcząc i słychać było tylko plusk błota pod kopytami, i parskanie koni, nareszcie młodszy, Ignacy, gładząc szyję swego wierzchowca, odezwał się pół-głosem:

„I o czemże tak myślisz Janie?“

„Ja?... tak sobie o niczem“, odrzekł z zamyślenia przebudzony Jan.

Chwila milczenia.

„Wiesz ty“, zaczął znowu młodszy, „że ta panna Julia, to bardzo ładna dziewczyna... nieprawda?...“

„Dosyć... ale siostra jéj przystojniejsza daleko.“

„O! bardzo cię przepraszam...“

„Ależ jak cię kocham...“

„Chybaś się jéj nie przypatrzył... jakie to spojrzenie łagodne i ujmujące, jakie włosy cudne... jakie...“

„Ale dajżesz mi pokój z blondynkami... życia w tém ognia ani za grosz, weź naprzykład jéj siostrę, zda się z oczu skry sypią, włos lśni się jak skrzydło krucze...“

„Ha!... ha!... ha!...“ zaśmiał się serdecznie młodszy, „złapałem Cię Jasiu... złapałem... zakochałeś się na zabój...“

„Ja?... bajesz mój drogi... głodnemu chleb na myśli... Tobie w padła w oko blondynka...“

„Myślisz że nie?... otóż prawda... widzisz, nauczony jestem od Ciebie...“

„Ba! boś młodszy“ odpowiedział z pół-uśmiechem Jan i znów nastała długa milczenia chwila... Jechali czas jakiś aż nareszcie Ignacy odwracając się na siodle i starając się przy świetle zachmurzonego księżyca zobaczyć rysy Jana odezwał się:

„Słuchaj jeno Jasiu...“

„No?...“

„Toby nieźle było?... co?... nieprawda?...“

„A może i nieźle...“

„Tak dwie siostry za dwóch braci... to cudownie... moglibyśmy zawsze razem być ze sobą...“

„A jak by to dobrze było!...“ odrzekł Jan, i dwie braterskie dłonie w jednym spotkały się uścisku.

„Bo też nawet inaczéj być niemoże... mybyśmy się bez Ciebie nieobyli...“

„Przynajmniéj nie bez boleści...“

„Nie... z boleścią czy bez niéj, ja się z Tobą nieroz-

łączę nigdy" zawołał młodszy głosem serdecznym, a po chwili dodał:

„Słuchaj Janie, mam pyszny projekt..."

„No, ciekawym..."

„Zróbmy układ... na słowo honoru..."

„Jaki?"

„Żenimy się z Sydońskiemi... jeżeli nas zechcą, ma się rozumieć, ale żenimy się obydwaj, albo żaden z nas... Jak jednego odpalą, drugi sam się cofnie... zgoda?..."

„A jak to będzie zbyt ciężka dla jednego z nas ofiara?"

„Zbyt ciężka ofiara... dla brata?..."

„Miłość dla kobiety potężniejsza nad wszystko..."

„Unu... panie dobrodzieju!..." zawołał Ignacy, „to pan już tak zakochany... że nawet dla brata... Bo jakżebym ja mieszkał z wami i widywał tę, która mną wzgardziła..."

„Nie... masz słuszność", rzekł stanowczo Jan, „nic nas nigdy rozdzielić niepowinno. Daj rękę, zgoda... bierzemy je obie... albo żadnéj... słowo?..."

„Ależ słowo, słowo!..." wołał radośnie Ignacy!... „Wiesz że to pyszny, oryginalny układ... Jesteśmy jak Lelum i Polelum..."

„Byle nie tak jak oni nieszczęśliwi..."

„A ba!..."

I tu Ignacy zaczął rozwijać przed bratem cały szereg argumentów, mających dowieść, że byle zyskać serce panien, żadnéj przeszkody spotkać niepowinni i nie mogą.

Jan słuchał go długo, przerywając, potakując, czasem zaprzeczając, a nareszcie dodał:

„Wszystko to bardzo piękne, ale wzajemność panien, to sęk..."

„O ba!..."

„Ba?... Cóż to, Lowelasem jesteś?.."

„Nie, ale przystojnym chłopakiem," i Ignacy śmiać się zaczął.

„Zobaczymy," dorzucił starszy śmiejąc się także.

„Zobaczymy."

I dwaj znajomi nasi oddali konie służącemu i znikli w ciemnéj sieni kawalerskiego mieszkania

III.

Odtąd, to jest od końca Marca, nasi bracia Marmurki zaczęli od czasu do czasu zaglądać do Małéj Woli, najprzód rzadziéj i pod rozmaitemi pretekstami, potém częściéj i bez zmyślonych powodów, ale zawsze razem, zawsze nierozłączeni. W okolicy poczęto już szeptać o téj dubeltowéj konkurencyi, i matki dorosłych panien wzgardliwie sznurowały usta, ile razy o Cichowskich była mowa, znak nieomylny, że już w cudze wpadli sidła.

W Małéj Woli, prędzéj jeszcze poznano co się święci. Już po pierwszéj bytności młodych sąsiadów, panienki o północy gawędziły o nich, a śniły do rana. Pani Sydońska zaś zawijąc filutki przed toaletą, mówiła do męża, który już w łóżku leżał i rozmyślał nad pewną bardzo oryginalną kombinacyą preferansową.

„Słuchaj jeno, Relciu!"

„Słucham cię, duszko..."

„Jak ci się Cichowscy podobali?..."

„A tak sobie!" z lekceważeniem bąknął mąż, a lekceważenie to było bardzo naturalnem, bo dwaj bracia powiedzieli mu, że bardzo słabo grają w preferansa.

„Bardzo miłe chłopcy... Czy oni całe Strzegowo i z przyległościami trzymają?"

„A całe podobno... albo co?...

„Nic... Ile też kapitału na taką dzierzawę potrzeba?

„A ciebie co to obchodzi?...

„Tak sobie... no ile?... Ty to znasz przecie.

„Albo ja wiem?... tak ze 25, ze 30,000 talarów... Ale co ci téż z téj wiadomości przyjdzie?... moja droga?...

„Po dwanaście, najwięcéj po piętnaście na każdego..." mruczała pod nosem pani Sydońska, ostatniego zawijając filutka i maczając go wodą z cukrem, „hm, niewiele,... niewiele... ale na te czasy... ah!..."

„Duszko, duszko!..." odezwał się głos męża.

„Czego chcesz?..."

„Dlaczegoś ty się wypytywała o Strzegowo?" nalegał p. Aureli, który był ciekawy jak baba

„Jakto niedomyślasz się?..."

„A dalibóg nie..."

„Jeden z nich, mógłbyć się ożenić z Halinką albo Julią."

„Aha!... to to!... at!... myślałem że co nowego!" i p. Aureli odwrócił się do ściany.

(D. c. n.)

LISTY Z USTRONIA.

Być kronikarzem chwili obecnéj jest jedném z tych zadań, które nieboszczyk Twardowski mógł djabłu dać do rozwiązania i byłby go zakłopotał... Kronikarz nieustannie prawie z piasku bicz musi kręcić... bo u nas wszystko na piasek suchy rozsypane i nic trudniejszego jak nasze sprawy, naszego życia prochy i pruszynki w jakąś ująć całość, chocby tak subtelną jak owe w przysłowiu biczysko.

Jedno się drugiego nie trzyma... rozlatują czyny, myśli i uczucia... Nigdy może żaden naród w niedoli, niewoli i cierpieniu tak rozproszonym nie był, tak się sam dobrowolnie nie rozpyłkował na odrobiny... Przenajzacniejsza Wielkopolska krzywém nieco okiem pogląda na Prusy Zachodnie, które jéj to spojrzenie z ironicznym dodatkiem płacą, Kraków niechce znać Lwowa, a Lwów Krakowa nie lubi, Wielkopolska i Galicya łączą się we wspólnym wstręcie ku emigracyi, Warszawa radaby może kochać wszystkich, ale jéj się do nikogo zbliżyć nie wolno. Któż wie?. i to szczęściem jest może. Zszedłszy w głębiny niezgruntowane społeczeństwa naszego — istna wieża Babel. Odkładając na stronę owe germanizmy, o których uczenie pisze Dr. Skobel, i rusycyzmy o których nikt nie wspomina nic, bo — nielźia — mówiąc nawet jednym językiem zrozumieć się nam trudno. Tamtych wyniańczyła szkoła ksks. Jezuitów, owych bezkonfesyonalne szkoły, jednego katechizm Belarmina. drugiego filozofia niemiecka, trzeciego — (co najgorzéj) — nikt nie kształcił... Jeden pił ze zdrojów Sekwany, drugi z Newy, trzeci ze Sprei, czwarty z Pełtwi... lub z Tybru...

Chaos w pojęciach, w przekonaniach, w zasadach... Wieża Babel.

Sympatye nasze zwracają się na północ, południe, wschód, zachód a jak najmniéj ku sobie. To co stoi górą niecierpi tego co na dole, co na dole nienawidzi tego co w górze, środek może chciałby być na wierzchu.. a wierzch wolałby być sam jeden i żeby mu nikt nie przeszkadzał.

Dawniéj jakoś były miejsca, idee, ludzie, uczucia, do których jak do ognisk zbiegały się ze stron przeciwnych szczątki rozproszone i choć chwilowo bratały — dziś... hasła niema ani wspólnego nic. . poszliśmy sobie samopas... Nic dziwnego że błądzimy i żeśmy słabi... Znajdziecie Polaka w każdym obozie, w każdym kraju, we wszystkich wojskach, pod wszelakimi sztandarami — począwszy od najwyższych krzeseł Senatu w Petersburgu, do najlichszych posad w Konstantynopolu i N. Yorku, natraficie wszędzie na nieszczęśliwych rozbitków z woreczkiem ziemi polskiéj na piersiach, lub bez niéj nawet... najemnikami u obcych z musu lub dobréj woli. Poszukawszy natrafilibyśmy na Polaków w Chinach i Japonii. Wojska rosyjskie, pruskie, austryackie, tureckie, pełne są braci naszéj... tam przy szpitalu doktorem, ówdzie przy kolei maszynistą, nauczycielem szkółki, współpracownikiem miernika, zamiataczem ulic i sekretarzem ministra... znaleść możecie Polaka. Mowa polska dobywa mu się nagle z ust, gdy ją usłyszy przy sobie, łza rosi oko. ściskają się dłonie zetknąwszy na chwilę i — daléj każdy w swą drogę.

Od wieków wielu nie było podobnego tułactwa i rozproszenia na ziemi. Kto mu winien, my czy o n i? Odpowiedzcie wy — ja zamilczę. Taki los łzy wycisnąć może z najostyglejszéj powieki. A gdybyśmy weszli w głąb tych dramatów nieznanych, które wygnanie za sobą zostawiło, w sobie ciśnie, przed sobą ma zgotowane — łez by na opłakanie téj doli nie stało...

W wigilią Bożego Narodzenia, w godzinie gwiazdy, gdy na polskiéj ziemi łamią się opłatkiem rodziny, bracia, obcy, wszyscy... czyście pomyśleli, że jak szeroki świat, gdzie był Polak to mu się łza zakręciła na wspomnienie owéj wieczerzy żłobka nazareńskiego? Żaden naród nie zachował ani tego obyczaju łamania się chlebem żywota i braterstwa w Chrystusie, ani dzielenia symbolicznem jajkiem Wielkiéj Nocy, które taż sama myśl braterstwa natchnęła ..

A dziś gdzież w tym narodzie bracia? gdzie braterstwo? Jedyną spójnią co nas wiąże to chyba cierpienie — wszystkim nam rozdzielone równo... boć od najmniejszego do największego dostało się każdemu...

Darujcie mi, żem tak smutnie jakoś mimowoli Kronikę rozpoczął, ale gdzież znaleść czém by się można pocieszyć? Szukam i dojrzeć nie mogę. — Tam ku północy głuche milczenie pod gniotem reform moskiewskich, w Galicyi wrzawa co robić — a nic się nie robi, nasza Wielkopolska drzémie, modli się przebudziwszy i kłóci... wszystkie oczy wpatrzone w wielką łunę na zachodzie. . kropli wesela wycisnąć z tego trudno...

Przecież „Polska nie zginęła“ a tu i owdzie na polu pług chodzi i sierp chodzi i ziarno się sieje i chwast wyplenia. Język nasz brzmi na szerokiéj przestrzeni, przeto zepsuć się nie daje — kiedy niekiedy myśl polska strzeli księgą, pieśń poleje się strumieniem — i imię czcią jak purpurą strojne przypomni przeszłość szczęśliwszą. Jest źle, ale by gorzéj być mogło... Żyjemy jeszcze, a kto życie ma, nadzieję mieć powinien... Na taką dobę jak dzisiejsza — która w dzielniejszych i szczęśliwszych życie jak dech zatamowała, jeszcze my nie jesteśmy ostatni... Cała działalność nasza skupiona około pracy wewnętrznéj, stosunkowo dozwala się nam pochlubić żeśmy rąk nie opuścili. — Gdzie nigdy nie było życia narodowego, tam ono jakby z letargu się budzi; gdzie je stłumiono i zgnieciono, odrasta trawką po cichu... Żyjemy... ażeby ocenić to życie dosyć je porównać ze symptomami innych ludów Europy, więcéj może niż my przygniecionych Kataklyzmem... Literatura w Niemczech ogranicza się prawie do pieśni obozowych i liryki zwycięzkiéj, wcale nie szczególnéj; w Anglii ledwie się mięsi chleb powszedni... my i parę zbiorów poezyi i kilka ksiąg historycznych i jedno filozoficzne dzieło oryginalne i dużo wielce oryginalnych otrąb literackich wykazać możemy... Dziennikarstwo wprawdzie nie wiele się od nowego roku zbogaci — ale też nie zubożeje nad miarę

Sztuka wreszcie bardzo żywotnemi objawy poświadcza, iż w życiu naszem zajęła właściwe stanowisko. — Wystawa Warszawska i Krakowska są tego najlepszym dowodem; Lwowska w Marca mająca się otworzyć, obiecuje być także choć w okazy obfitą. Pism ilustrowanych polskich dalibyśmy aż blisko dziesiątka, a niektóre z nich śmiało z zagranicznemi iść mogą w zawody. Teatra nasze nie próżnują, odczytów mamy dosyć w stosunku do słuchaczów — nie godzi się więc skarzyć bardzo... Mógłbym wprawdzie odwrotną stronę medalu pokazać, poczynając od pajęczyną okrytych półek księgarzy... ale na dziś — wolę zamilczeć. — Zacznijmy rok nowy od nadziei i otuchy.. od starego Kazimierzowskich dwuzłotówek godła: Deus providebit; krzątajmy się, pracujmy i wierzmy, że praca nigdy nie jest bezowocowną, nigdy daremną. Wydzięczy się ona choćby tém, że pracownika uzacni i podniesie.

Wspomnieliśmy dziennikarstwo nasze, słuszna jest obliczyć jego straty. Zapowiedzianych pism nowych bardzo mało, z dawniejszych wychodzić przestaje Dziennik literacki we Lwowie (los ten przewidzieć było łatwo), zawiesza wydawanie ten poczciwy i pożyteczny Rękodzielnik. Natomiast w Warszawie humorystyczna wylatuje Mucha, we Lwowie Unia, zmienia się na codzienną, Krakowski Włościanin, wychodzić ma co tydzień, na Szlązku w Katowicach, powstaje ludowe pismo: Prawda... Co się dzieje w Poznaniu wy sami lepiéj wiedzieć będziecie, nas tu zapewniają, iż nowy Dziennik polityczny ma się narodzić z wielkiego gniewu na stary, który pono szatą się nową przyoblecze. Dzienników nie mamy za wiele, gniewać się więc nie będziemy, gdy choć najprzeciwniejszych nam przekonań, powstanie nowe pismo. Każde z nich wyrabia sobie koło czytelników z tych żywiołów, które wprzódy nic czytać nie potrzebowały, zyskujemy więc zawsze na rozszerzeniu kręgu żyjących duchowo braci. W Warszawie niegdyś jeden polityczny dziennik miał około trzech tysięcy abonentów, a gdy drugi powstawał, truchlał o nich ze strachu; — stało się wszakże, iż on przy swych trzech pozostał, a drugi się ośmiu niemal dorobił. Jest to może jedynem błogosławieństwem teraźniejszéj wojny, iż znacznie się przyczyniła do pomnożenia liczby czytelników, z których i późniéj część jakaś wierną nawyknieniu pozostanie, à quelque chose malheur est bon... czyli, nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło.

B. Bolesławita.

Szarada.

Trzecie drugie żywiołu siłę ograniczy,
Pierwsze wspak z trzeciem pieniężnych spraw tylko dotyczy.
Drugie, wspak pierwsze lękliwym przed oczyma staje
Wszystko zaś ludziom nagłą śmierć zadaje. —

(Rozwiązanie szarady w Nr. 1: ***Polemika.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu C. R. pod Mysłowicami: Nie nasza w tém wina. Udaj się pan z zażaleniem do poczty. Panu W. S autorowi poezyi „Na stacyi w Krzyżu:“ Stał pan na rozdrożu, łatwo więc było z właściwéj drogi zbłądzić. Panu Ludmiłowi O. ze świata: Płody pańskie niekwalifikują się do druku. Panu O. O. z Poznania: Drażliwość Jego przechodzi granice właściwe — gdybyśmy przeciw niéj posiadali antydotum, chętnie byśmy służyli. Panu Bocianowi: W krótce o teatrze będziemy mówili — uwagi więc Jego na przyszłość zachowamy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)